

ADRIANNA BIEŁOWIEC

TRYLOGIA DEATH BRINGER

ONKALOT



CANIS MAJORIS

TRYLOGIA DEATH BRINGER

ONKALOT

Fragmenty

ADRIANNA BIEŁOWIEC

WYDAWNICTWO CANIS MAJORIS

Seria: Zodiac Universum

Trylogia: Death Bringer

Copyright © Adrianna Bielowiec, 2020

Copyright © Wydawnictwo Canis Majoris, Szczecin 2020

ISBN

978-83-941896-4-8 (druk)

978-83-941896-6-2 (e-book)

Wydanie I

Projekt graficzny okładki i ilustracja na okładce (przód)

Valued Creations (valuedcreations.com)

Projekt okładki

Adrianna Bielowiec

Ilustracja w książce

Marta Anna Podolska

Redakcja i korekta

Anna Nowak

Redakcja techniczna

Paweł Prusinowski

Strona autorska

facebook.com/zodiacuniversum

Strona wydawnictwa

facebook.com/wydawnictwocanismajoris

Dystrybucja: E-bookowo




MARTA ANNA
PODOLSKA

Spis treści

Potyczka kosmiczna.....	6
Bijatyka w „Stanisławie Skalskim”	20
Szczur.....	30

Zdecydowałam się wziąć kilka wyrwanych z kontekstu podrozdziałów ze środka powieści jako darmowe fragmenty. Głównie ze względu na sceny akcji, których tam nie brakuje, jak i niewiadome. Mam nadzieję, że zechcecie zapoznać się z całością, by dowiedzieć się, po co maszynom skrzydła w kosmosie, co robią tam płatowce, dlaczego dowódca przenosi odpowiedzialność za przebieg bitwy na barki pilotów czy o co chodzi z walką statków z okrętami. Miłej lektury!

Adrianna Bielowiec

POTYCZKA KOSMICZNA

Pomimo maksymalnej ostrożności ze strony rebelianckiej floty Kiritianie zorientowali się, że są atakowani kilka minut przed tym, jak nieprzyjacielskie klucze wbiły się w ich kolumnę. Momentalnie rozproszyli się, niczym napadana ławica ryb – i ruszyli do kontrataku.

To zdezorientowało rebeliantów, którzy spodziewali się, że mniej liczny i słabiej uzbrojony wróg po prostu ucieknie.

Ale nie Kiritianie.

Prawdą jednak okazało się, co mówiono powszechnie na ich temat: Nieśmiertelni nie stchórzyliby, nawet gdyby przeciwnik miał przewagę sto do jednego, a oni świadomość, że żaden z ich achij nie przeżyje bitwy.

Potyczka była nieunikniona, obie strony leciały na siebie kursem kolizyjnym.

– Zdejmijcie osłony *stealth*, tylko tracimy energię – nakazał komandor Lacetti na ogólnym kanale. – Element zaskoczenia diabli wzięli.

Nie minęło ćwierć terreńskiej minuty, a wszystkie maszyny z Uniwersum Lwa były widoczne w przestrzeni.

Kiritianie i rebelianci osiągnęli prędkość bojową. Musieli jednak manewrować, gdyż wokół roilo się od asteroid. Wprawdzie dzieliła je czasem odległość dziesiątek tysięcy kilometrów, ale traciło to znaczenie przy zawrotnych prędkościach.

– Wybraliśmy sobie niezłe pole bitwy – zagaił Beliar do Anny. Ta nie wychwyciła ze zniekształconego przez komunika-

tor tembru głosu, czy porucznika to cieszy, czy raczej martwi. Doszła do wniosku, że prędzej to pierwsze. Jakby nie patrzeć, oboje latami ćwiczyli karkołomne manewry, wybierając najniebezpieczniejsze skaliste i górzyste tereny Nefrydy, gdzie nie-trudno było o rozbięcie myśliwców. Jedyne minus był taki, że ćwiczyli głównie w atmosferze. W kosmosie także, ale w sektorze, gdzie krążyła Nefryda, nie było pasów asteroid. Teraz sprawdzą, czy czas spędzony na symulowanych walkach nie poszedł na marne.

– A to spryciarze... – Sandstorm ponownie usłyszała głos porucznika, tym razem na kanale prywatnym.

– Co się dzieje?

– Wyobraź sobie, że Kiritianie nas rozkodowali i właśnie pouczyli na kanale dowódców, że mamy nie stawiać oporu, dać się odeskortować na Eos Endymion albo nas rozpierniczą. I takie tam, proceduralne sratatata. Dziady skubane.

Anna zamrugwała.

– Dosłownie tak powiedzieli? Że nas rozpierniczą?

– Nie. – Beliar się zaśmiał. – Ja ci tak mówię.

Sandstorm nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Rozumiem, że komandor Lacetti dał odpowiedź, która się tamtym nie spodobała.

– Odpowiedź może nie, ale zapewne podoba im się perspektywa, że będą mogli się na nas rzucić.

– Kazał się więc tamtym walić. – Domyśliła się.

– Mniej więcej.

– Czy komandor rozmawiał z Forkisem? – Zadając to pytanie, Anna poczuła szybsze bicie serca.

– Nie. Tylko z Kiretem Biffterem. To jego liktor, przydupas, prawa ręka i Drugi Dygnitarz Galaktyczny.

– Niezła kolekcja tytułów.

– Wygląda, że oto mamy przed sobą całą śmietankę przy-

bocznej centurii.

– Po prostu cudownie – szepnęła do siebie.

– Co mówisz? Nie usłyszałem, za dużo zakłóceń w eterze.

– Jeśli jest tam Biffter, to musi być i Forkis – Sandstorm mówiła cicho, próbując się skupić.

– Przepraszam za wszystko, Aniu – Beliar odezwał się ponownie, nieśmiało. – Bez względu na to, co sobie o mnie myślisz, musiałem ci to powiedzieć raz jeszcze.

– Daj już spokój. Zobacz lepiej, co się dzieje przed nami.

– Wybaczysz mi? – zapytał poważnie porucznik. Patrzył obojętnie na zbliżające się maszyny wroga.

– Nie wiem. Musimy teraz o tym gadać?

– Któryś z nas może nie przeżyć starcia – warknął. – Do zapadłej gwiazdy, oboje możemy zginąć!

– Mówisz poważnie? – Sandstorm zaśmiała się nerwowo.

Dostali sygnał z maszyny flagowej. Na rozkaz komandora rebelianckie jednostki poszły w „ławicę”. Skoordynowany atak w szyku trójkębu nie miał sensu, skoro kolumna wroga rozproszyła się sama.

Do starcia czołowego pozostało ledwo parę kilometrów.

– Walić to wszystko – powiedziała Anna bardziej do siebie niż Beliarda, który zmieszał się, usłyszawszy owe wieloznaczne słowa. Dziewczyna ucieszyła się, że nie musiała już lecieć w tym cholernym kluczu i w pocie czoła czekać na rozkazy, tylko atakować wedle własnego uznania. „Ławica” oznaczała bowiem, że, pomimo ataku grupowego, każdy pilot ostrzeliwał bez rozkazu upatrzony wrogi statek. Musiał mieć perfekcyjne wyczucie chwili i umieć błyskawicznie oceniać własne położenie. Należało osłaniać i siebie, i sąsiada. Być małym mózgiem dostrojonym do wielkiego wszystkich atakujących. Dlatego do dywizjonów, które działały w ten sposób, rekrutowano jedynie najlepszych asów.

– Zobaczmy, czy jesteście tacy dobrzy! – Głos Anny bardziej przypominał ryk rozwścieczonej wilczycy niż ludzki. Beliarowi ulżyło. Jednak chodziło jej o tamtych, a nie ich związek.

Sandstorm oddała z działka tamariowego Białka pierwszy strzał w tej bitwie. Był to nowy rodzaj broni energetycznej, zdolnej przebijać metal na wylot. Zaraz miało się okazać, czy upora się z pancierzami statków Nieśmiertelnych.

Przypominające ogromne rozwielitki dwa transportery bojowe Kiritian gwałtownie odbiły od siebie. Wiązka energii niegroźnie poleciała w kosmos, gdzie szybko pochłonęła ją bezkresna czerń.

Kinetyczne, energetyczne i raketowe salwy posypały się gęsto z obu walczących stron. Floty wymieszały się. Doszło do indywidualnych pojedynków i pościgów, w których nierzadko brało udział po kilka maszyn.

Uszy pilotów opozycji bombardowały komunikaty podwładnych do dowódców i odwrotnie. Kiritianie z kolei porozumiewali się rzadko, traktując całe zajście jak coś odrobinę poważniejszego niż dobra rozrywka.

Na sterburcie Anny któryś z rebeliantów oberwał naprowadzaną rakieta w sam środek podbrzusza, zaczął odpływać w przestrzeń napędzany siłą inercji i rozbił się o krawędź asteroidy. Sandstorm rozglądała się dookoła w kokpicie, jako że nie dostrzegła, czy pechowiec katapultował się w cyście ratunkowej, czy jednak rozwalil razem z maszyną.

Podporucznik westchnęła nerwowo. W rękawicach pocily jej się dłonie. Zagaiła do przyjaciół – w tym Beliar – by sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Na szczęście nikt z nich nie oberwał.

– Białek, wystawiaj przednie działka – rzekła do swojego myśliwca, którego SI wspierała ją aktywnie w walce. Zaczęła

baczenie przyglądać się rozbłyskującemu ogniem bitewnym otoczeniu. Desperacko próbowała określić, w której maszynie leciał Forkis. Na logikę szukała najbardziej obstawionej.

Naprzeciwko niej wyrósł niespodziewanie transporter bojowy wroga. Pod kadłubem sterowały ostrza z dhurnstali, najtwardszego stopu używanego wyłącznie przez Kiritian. Dziewczyna skorygowała wektor ruchu, skręcając na sterburtę, tym samym unikając uszkodzenia płatownia. Spotkanie z lancami oznaczało wbicie się ostrza w kompozyt z łatwością noża wsuwającego się w ludzkie ciało. Wszelkie osłony maszyn opozycji miały charakter elektroniczny, chroniły przed bronią energetyczną i sterowaną elektronicznie, ale nie czysto fizyczną. Historia miała udokumentowane przypadki, kiedy to małe kiritiańskie jednostki przebijały nawet grube osłony promów kosmicznych, powodując szok kompresyjny.

Rebeliantka wzniosła się względem wroga i wykonała długie przewrót przez skrzydło, by zawrócić i siać na ogonie tamtego. Straciła jednak ściganą maszynę z oczu. Wszystkie transportery wokół były takie same i wydawały się walczyć z równą zaciętością co Kiritianin, który przed chwilą omal nie uszkodził Białka.

Był jednak wyjątek.

– Mam! – Anna wzdrygnęła się, gdy Drzazga ryknął podnieconym głosem na kanale ogólnym. – Chyba mam Forkisa! Oznaczyłem cel laserem, przesyłam namiary do wszystkich.

Sandstorm spojrzała na obraz, który ukazał się na jednym z ekranów. Czerwonym trójkątem namierzony został transporter znajdujący się w oddaleniu od walczących. Nie brał udziału w bitwie, chroniło go kilka maszyn. W jego stronę już leciały wytypowane myśliwce. Anna również chciała dołączyć do atakujących, otrzymawszy od dowódcy dywizjonu rozkaz do ostrzału, jednak w tym samym momencie przed owiewką Białka bru-

talnie zderzyły się ze sobą kiritiański transporter i rebeliancki szturmowiec. Nastąpił wybuch. Wirujący, rozgrzany złom rąbnął w osłonę kabiny XRS-14, nie uszkadzając jednak grubego na kilkadziesiąt centymetrów pancernego szkła. Ale i tak zatrzęśło całym kadłubem.

– Anka, żyjesz? – To był zaniepokojony Beliar.

– Nic... To nic. – Dopiero po chwili wypuściła z siebie powietrze. – Nic się nie stało.

– Leć ze mną.

Odnalazła Drunkensteina i ruszyła za nim przez błyskające wokół piekło. Oboje kierowali się w stronę statku Kiritian, którego zawzięcie – i skutecznie – broniła obstawa.

Anna nie spuszczała oka z docelowej maszyny, z podejrzliwością ściągnęła brwi. Obiekt różnił się nieznacznie od innych transporterów: był bardziej opływowy, płaski, także mniejszych rozmiarów. Kabina wydawała się zbyt ciasna, by pomieścić pilota, chyba że za sterami zasiadał karzeł albo pojazdem sterowała SI.

Niespodziewanie ochrona przestała stawiać zaciekły opór i przysła we wszystkich kierunkach. Samotny statek zaczął uciekać, ścigany przez całą eskadrę opozycji.

– Beliar, coś tu nie gra – rzekła niepewnie Anna. – Forkis nigdy nie chowałby się za plecami swoich achij. – Olśnienie nadeszło momentalnie, gdy przypomniała sobie, jak jej ojciec Krystian opowiadał kiedyś o tej taktyce. – Na dupę Connora! Odwołaj ich wszystkich!

– Co się dzieje? – zapytał zdezorientowany porucznik.

– To pułapka!

Anna nie traciła czasu na wyjaśnienia, bez zbędnych ceregieli i strachu przed złamaniem regulaminu, przełączyła się na kanał ogólny i zakomunikowała:

– Nie gońcie uciekającej jednostki. Na pokładzie jest bom-

ba inhibicyjna. Wstrzymajcie ogień.

Ludzie znający Annę zareagowali natychmiast, akceptując osąd rekomendowanej podporucznik i przestali strzelać. Pozostali woleli poczekać na potwierdzenie swoich dowódców. Część pilotów zaczęła zmieniać kierunek lotu, część wciąż trzymała się wyznaczonego kursu.

Sandstorm nie myliła się, detonacja nastąpiła sekundy potem. Wyglądało to tak, jakby do kosmosu portowano całą wodę z wielkiego jeziora, która rozprysła się promieniście, wymiatając znajdujące się najbliżej epicentrum maszyny niczym styropianowe stateczki puszczane na fale przez dziecko. Znajdującym się dziesiątki kilometrów od źródła wybuchu Białkiem także zatrzęsło. Minęło kilka chwil, nim rebeliantka odzyskała nad nim panowanie.

– Dobra robota, podporucznik Sandstorm – zwrócił się do niej komandor Lacetti. – Gratuluję trafnego osądu.

Anna z żalem dostrzegła, że wiele maszyn opozycji, które manewrowały najbliżej ogniska eksplozji, zostało sparaliżowanych i dryfowały, jakby potraciły wszystkie silniki i systemy napędowe. Nie miała jednak czasu na dłuższe taksowanie strat, gdyż została zaatakowana rakieta.

– Białek, tylne karabinki plazmowe. Strąć to dziadostwo.

Pędząca na XRS-14 rakietą była trudna do zestrzelenia. Reagowała na wiązki plazmowe i bardzo szybko zmieniała kierunek lotu, jakby nie poruszała się w próżni. Anna próbowała strącić ją ręcznie, przypuszczając, że systemy naprowadzania rakiety znają program działania SI Białka i dlatego bez problemu przewidują jego posunięcia, jednak alternatywna metoda także nie przyniosła rezultatów.

Sandstorm całkowicie wyłączyła system wspomaganie i przeszła na sterowanie ręczne. Zamierzała pozbyć się natrętnej rakiety najstarszym możliwym sposobem obrony lotniczej: wy-

manewrować ją i następnie rozbić na asteroidzie lub pechowym wrogim transporterze bojowym. Ten sposób również zawiódł, gdyż kiritiański pocisk wiernie kopiował posunięcia białego myśliwca, i to w tym samym czasie, gdy Anna przechylała drażek.

Gdy zaczęła się z równym stopniu wkurzać, co martwić, pocisk strącił jeden z rebeliantów.

– Dzięki, Tom. – Rozpoznała strzelca po oznaczeniach na płatowcu ścigacza, który natychmiast zaczął się oddalać, by znaleźć sobie kolejny cel.

Anna zrobiła szybkie rozpoznanie. Zauważyła, że Beliar nie mógł sobie poradzić z pewnym Kiritianinem, który bezustannie siedział mu na ogonie. Natychmiast ruszyła ze wsparciem. Porucznikowi przyszły na pomoc jeszcze trzy inne myśliwce z dywizjonu towarzyszącego.

I wszystkie zostały unicestwione w niecałą minutę.

Dziewczyna oniemiała. Małe kiritiańskie transportery znane były ze swej manewrowości, a kierujący nimi piloci – z perfekcyjnych umiejętności lotniczych. Jednak ten tutaj zdawał się przebijać wszystko, co widziała dotychczas na szkoleniach i w praktyce. A rzetelnie podchodziła do swoich obowiązków, obejrzała setki nagrań z potyczek z Kiritianami, niektóre analizowała wiele razy.

Porucznik Drunkenstein oberwał wiązką obezwładniającą z działka o wyglądzie rdzenia plazmoreaktora. Prawie całkowicie stracił panowanie nad maszyną, która zaczęła odpływać w kosmos i oddalać się od strefy bitwy.

– Beliar! – Sandstorm nie otrzymała odpowiedzi. Porucznik żył jednak, gdyż zdołał ustawić swojego myśliwca tak, by mógł dobić podbrzuszem do kilkukilometrowej planetoidy dryfującej niedaleko. Rebeliantka miała nadzieję, że Beliar stracił tylko system łączności, lecz równie dobrze w FX-94 mógł ak-

tywować się autopilot, który starał się bezpiecznie wylądować na ogromnej, kostropatej skale.

Annie nie było jednak dane sprawdzić, co naprawdę się wydarzyło, gdyż ledwo ruszyła na pomoc Drunkensteinowi, sama została napadnięta przez jakiegoś achij.

Pozbycie się natręta, który okazał się niezgorszym pilotem, zajęło jej dobrych kilka terreńskich minut. Nie zniszczyła jednak celu, bo sprytnie unikał jej pocisków, tylko go uszkodziła, co jednak wystarczyło, by intruz wycofał się i zniknął pomiędzy mrowiem walczących.

Nie zdołała wykonać głębokiego oddechu, a już została zaatakowana przez kolejny transporter bojowy – ten sam, który pokonał Beliara. Maszynę rozpoznała od razu, tylko ona przemieszczała się bowiem w zdumiewający, specyficzny sposób. Każdy jej manewr był perfekcyjny, wolny od błędów. Siała zniszczenia pośród rebeliantów, mknąc przez obszar potyczki niby bóstwo wojny.

– Twardziel, co? Może się zmierzymy? – Podporucznik skierowała Białka w stronę transportera i natychmiast przeszła do skoncentrowanej, zaczepnej salwy z obu przednich działek tamariowych. Jednocześnie próbowała oszacować, gdzie w następnej chwili znajdzie się przeciwnik.

Kiritianin zawrócił ranwersem. Leciał teraz ku Annie, również otworzywszy ogień. Pomarańczowe pociski energetyczne intensywnie i miarowo uderzały w osłonę kabiny XRS-14, póki zaciskająca zęby Anna nie została zmuszona do wykonania wi-
rażu w lewo. Nieugięty pilot najpewniej by się z nią zderzył, gdyby nie ustąpiła pierwsza. Przez to przegrała psychiczny pojedynek. Była na siebie wściekła.

– A to skurczybyk! – wykrzyczała w myślach.

Na moment straciła Kiritianina ze skanera i oczu. System ostrzeżenia myśliwca raportował, że zewnętrzne warstwy kabi-

ny zostały lekko uszkodzone. Rzeczywiście było widać drobne, przypominające pajęczynę pęknięcia w miejscach, gdzie wcześniej uderzał skoncentrowany ogień.

Intruz nie odpuścił, pojawił się na ogonie XRS-14 w odległości dwóch kilometrów. I natychmiast zaczął ostrzał.

Annie udawało się unikać pocisków – chociaż nie zawsze – niemniej sam ścigający twardo trzymał się Białka i nie dawał się wymanewrować, jakby czytał podporucznik w myślach i nieomylnie reagował na jej posunięcia.

Po upływie terreńskiego kwadransa obie maszyny oddaliły się od strefy potyczki; walczący bez słów postanowili rozstrzygnąć pojedynek na uboczu. Kiritianin ścigał Annę lawirującą pomiędzy asteroidami. Kobieta była wściekła, intruz miał gotowy kontrmanewr na każdy jej haczyk, nawet te, na które nabierali się piloci tak dobrzy jak Beliar czy Drzazga. W dodatku bawił się nią, jakby doskonale znał jej możliwości.

– Niech cię szlag... – warknęła przez zaciśnięte zęby. – I tak cię załatwię.

Ku jej bezbrzeżnemu zdumieniu Kiritianin odpowiedział elektronicznie zniekształconym, cieniutkim głosem. Jeszcze tego brakowało, by dostawała cięgi od jakiegoś młodzieńczego szeregowca.

– Zakład, panienko? – Na ekranie Białka ukazała się sylwetka pilota zakuta w hełm i czarno-atramentowy pancerz z elementami indygo. – O co?

– O jajco – odparowała bezmyślnie.

– Trudno będzie ci zrealizować taki zakład, jeśli wygram.

Kiritianin zaśmiał się bezczelnie i więcej nie odezwał.

Pościg zdawał się nie mieć końca. Pot lał się po twarzy i plecach Anny. Jak tylko udawało się przytrzymać cel na linii strzału i wypuścić pocisk, Kiritianin zaraz jej uciekał. Zmarnowała na niego ponad połowę rakiet, z których tylko jedną udało

się niegroźnie drasnąć kadłub umykającej maszyny.

Straciła poczucie czasu. Przestała zerkać na zsynchronizowany z armadą zegarek, bo i tak nie miało teraz najmniejszego znaczenia, czy walczyli ze sobą terreński kwadrans, czy dobę. Gorzej, że łączność z rebeliantami została zerwana z powodu odległości.

Dziewczyna całkowicie folgowała emocjom. Pozwoliła, by kierowała nią złość i zatraciła się w swojej nienawiści do kiritiańskiego narodu. W stanie wzburzenia rzuciła się na transporter. Nawet jeśli zmuszona będzie staranować go i jednocześnie postradać zmysły, zrobi to, do zapadłej gwiazdy! Ta przeklęta zabawa trwała już zbyt długo.

Pas asteroid dawno znikł im ze skanerów. Robili finty, zwroty bojowe, korkociągi, świece, pętle, zawroty i spirale, gdyż nie musieli przejmować się żadną fizyczną i grawitacyjną przeszkodą. Wszystko, co nie oznaczało lotu po linii prostej, mogło okazać się korzystne.

Anna prawie cały czas była ścigana. Otrzymała raport diagnostyczny, że kadłub Białka jest uszkodzony w sześćdziesięciu siedmiu procentach. Leciła jej krew z nosa, strasznie świszczalo w uszach. Czuła się, jakby miała wyrzygać własne trzewia, bo osłona anti-g zawodziła coraz bardziej. Miała wrażenie, że zaraz się udusi.

Ku jej zadowoleniu Kiritianin także oberwał.

Robiąc fintę, bezmyślnie nieco, odpaliła swoją przedostatnią raketę.

Trafiła idealnie. Wreszcie!

Uszkodzona, trawiona sferycznym płomieniem w okolicy dysz maszyna wroga zaczęła... uciekać. Kierowała się w stronę jakiejś nieznaney, pobliskiej szarobłękitnej planety, na którą po-grażona w amoku Sandstorm wcześniej nie zwróciła uwagi. Najprawdopodobniej pilot zamierzał zgasić pożar w atmosfere-

rze.

– Masz spartaczony kadłub! Spłoniesz w termosferze! – zawołała na tej samej częstotliwości, na której przedtem zagał intruz. Nie brzmiało to ani jak ostrzeżenie, ani jak ironia. Miała gdzieś los pilota, jak i po dziurki w nosie tej idiotycznej walki, która niemalże doprowadziła do zniszczenia Białka.

Uciekający kontynuował lot kamikadze. Anna zastanawiała się, czy świadomie ją zignorował. Czy może był nieprzytomny, może był trupem, a może opadał ściągany polem grawitacyjnym planety, całkowicie straciwszy kontrolę nad pojazdem. A może, ze skalanym honorem, pobity przez rebeliancką dziewczynę, faktycznie chciał popełnić samobójstwo. Bez względu na przyczynę leciał prosto jak strzełił ku oświetlonej półkuli, stale przyśpieszając.

Zmierzająca za celem, zaciekawiona i pewna, że pokonała wroga, zbyt późno zorientowała się, o co w tym chodzi. Wrzasnęła ze złości, gdy pilot niespodziewanie oplótł biały myśliwiec matnią energetyczną, która zacięła wszystkie jego układy.

W kabinie Białka rozbrzmiał szyderczy śmiech przeciwnika. Teraz obie maszyny, jedna uszkodzona, druga zablokowana, spadały w kierunku planety. Wpadły w górną warstwę atmosfery.

SI XRS-14 także nie działała. Dziewczyna otrząsnęła się z bitewnego szalu i zaczęła panikować. W pełni zdała sobie sprawę, że niebawem zginie, roztrzaskując się o powierzchnię globu, jeśli szybko czegoś nie wymyśli.

– Białek, włącz się, na dupę Connora. – Próbowwała przez sterowanie ręczne zapanować nad myśliwcem.

Kiedy przechodziła przez termosferę, myślała, że spłonie żywcem. Skóra paliła jak zwilżona kwasem i podpalona. Ze spuchniętych, bolących oczu intensywnie wypływały łzy. Nie wiedziała, jak udało jej się włączyć awaryjne systemy chłodzą-

ce kabine, czy może puściły same, jednak strumienie lodowatego, siwego chłodziwa, które trysnęły z sykiem z kilku stron jednocześnie, uratowały jej życie. Wszystko na krótką chwilę. Zbyt krótką, by człowiek był w stanie opanować awarię i wy dostać się z niej bez szwanku.

Wirująca wokół własnej osi ziemia zbliżała się z oszałamiającą szybkością. Z niedotlenienia Anna zaczynała mieć omamy.

Zauważyła odległy wybuch nad piaszczystymi wzniesieniami. Jej wróg właśnie zginął – a ona podzieli jego los za kilka sekund.

– Zabieraj się stąd, Anno Sandstorm. Ratuj się. – SI Białka zdołała jakimś sposobem wyrwać się spod działania blokady. Syntetycznie brzmiący głos trzeszczał niczym u wadliwego androida. Mimo postępującej dezaktywacji kolejnych systemów, myśliwiec próbował ratować życie swojego pilota. Anna wiedziała, że psujący się Białek pokonał kiritiańską zaporę tylko po to, by w ostatnim przyływie energii dać jej szansę na ocalenie. Zrobiło jej się przykro. Kochana, stara maszyna, pomyślała, kładąc obolałą rękę na tablicy przyrządów.

Wokół podporucznik i jej fotela z trzaskiem zamknęła się cysta ratunkowa, której poły wysunęły się z podłogi. Duraluminiowo-litowo-kompozytowa kula, służąca do katapultowania pilota w kosmosie, umożliwiała mu przetrwanie nawet wielu dziesięcioleci w stanie anabiozy i hibernacji. Gorzej to sprawdzało się w atmosferze planety, serwując żywej zawartości karuzelę o ogromnych przeciążeniach.

Dalsze wydarzenia potoczyły się z prędkością nanosekund.

Podporucznik poczuła mocne szarpnięcie ku górze, potem zrobiło jej się niedobrze, gdy katapultowana cysta zaczęła opaść. Znow szarpnęło całym układem, gdy uruchomił się napęd antygravitacyjny. Silnie potrząsało jej ciałem; syczała z bólu.

Zwymiotowała, zaraz potem jej oczy uciekły w głąb czaszki.

Radowało ją nawet, że odpływa w błogą nieświadomość śmierci. Przynajmniej skończy odczuwać ten straszliwy, paraliżujący ból i ucisk w klatce piersiowej, który w ostatnim przebłysku jaźni uświadomił jej, że umrze od uduszenia, być może własnych wymiocin.

BIJATYKA W „STANISŁAWIE SKALSKIM”

„Stanisław Skalski” była niewielką gospodą. Mieściła się na kilkupoziomowej stacji usługowej, dryfującej w bezpiecznym rejonie Uniwersum Koziorożca, blisko granicy z Uniwersum Ryb. Porządek utrzymywały tam utworzone przez władze ościennego sektora zawodowe oddziały policji, specjalnie szkolone do działań na kresach. I to właśnie świadomość, że oddalona ledwo o pół miliona kilometrów umowna granica jest oblegana przez służby mundurowe, sprawiała, że porządniejsi klienci „Stanisława Skalskiego” czuli się w tu miarę bezpiecznie. Sama policja również nierzadko odwiedzała słynący z dobrych drinków lokal. Prócz tego właściciel, pan Skalski (nazwa obiektu wzięła się od jego rodowego przodka sprzed dziesięciu wieków, którego zasługi lotnicze w Pradawnej Wojnie przeszły do historii), kupił niedawno androidy, które utrzymywały porządek. Bijatyki zdarzały się więc rzadko. Jednak zawsze mogły wybuchnąć, zwłaszcza gdy salę zajmowali goście ze zwaśnionych grup społecznych.

Aggroteh upatrzył sobie „Stanisława Skalskiego” właśnie ze względu na różnorodność gości, chcąc zdobyć w lokalu potrzebne informacje. Jako Onkalot trochę ryzykował, pokazując się publicznie. Mimo że zadbał starannie o odzienie, wpadka zawsze była możliwa. W kartotece Zodiac Universum wciąż figurował jako zbiegły niewolnik, choć jego dawny właściciel już dawno zszedł z tego wszechświata. Statusu nie można było

jednak anulować, prawo własności żywego inwentarza musiało wygasnąć, ale miało to się stać za rok, czyli w 2957. Póki co, czlekojaguara nikt jeszcze nie wsypał, nieliczne osoby zaznajomione z przeszłością Q'ualela trzymały jego stronę. U nich właśnie nabył, na jednej z handlowych stacji orbitalnych H14, kompletny uniformu oblatywacza z hełmem typu lustra weneckiego, za którego osłoną dało się ukryć koci pysk. Do kabury wcisnął wyrzutnik jonowy, jakiego używali prawdziwi najemnicy zarabiający na życie patrolowaniem orbit planet albo samych globów. Z drugiej strony Q'ualel umieścił pokrowiec z obsydianowym sztyletem, z którym nigdy się nie rozstawał. Pozostał tylko problem ogona – onkalockiej wizytówki tworzącej wybrzuszenie. Rozwiązał go, wycinając otwór w uniformie, a wyciągnięty na zewnątrz ogon obwiązał wokół pasa i zarzucił na siebie długie poncho z głębokim kapturem. Gapie wezmą go za jakiegoś ekstrawaganta, chcącego pozostać w ukryciu.

Wylądowawszy przemalowanym wcześniej transporterem na prawie pełnym lądowisku przed lokalem, nasunął kaptur głęboko na pysk, który dodatkowo obwiązał chustą. Opuścił maszynę i ruszył w stronę wejścia. Najchętniej wszedłby do środka w hełmie, który dotąd chronił jego tożsamość, jednak zwróciłby powszechną uwagę, bo miałby go zapewne jako jedyny. Broń musiał oddać do przechowalni, został dodatkowo przeskanowany na jej obecność podczas przekraczania bramki bezpieczeństwa. Udało mu się wejść na salę z przemyconym pod materiałem, wolnym od metali obsydianowym sztyletem.

Lokal został wystylizowany na osiemnastowieczną gospodę, dlatego zbudowano go głównie z drewna, materiałów drewnopodobnych i kamienia. Miał nawet kominek pod ścianą, gdzie wesoło buzowało ogromne palenisko, podsycane prawdziwymi szczapkami, przez co w pomieszczeniu roznosił się specyficzny zapach przywodzący na myśl zamierzchłe czasy.

To sprawiało, że wielu galaktycznych pielgrzymów bądź turystów zmęczonych współczesnością chętnie tu powracało. Umeblowanie, kontuar, schody, jak i całe piętro z pokojami także miały wygląd i barwę różnogatunkowego drewna. Tego wieczoru pokładowego gospoda pękała w szwach, wypełniona niebezpieczną mieszanką ludzi różnych profesji i subkultur, znalazło się jednak kilka wolnych stolików ulokowanych daleko od jasnego kominka; na każdym blacie paliła się świeca.

Aggroteah zamówił danie mięsne i kufel *palque*, napoju z agawy, po czym zajął miejsce przy jednym z pustych stolików. Mocniej zaciągnął kaptur na głowę, w półmroku jego oczy przybierały bowiem jaskrawoczerwoną barwę, dostosowując się do widzenia infrawizyjnego. Dlatego często zerkał w płomień świecy interpretowany przez receptory oczne jako światło dnia. Zaczął dziobać widelcem swój posiłek, mitrząc czas, przysłuchując się rozmowom mieszającym się w ożywionym lokalu.

Dostrzegłszy kilku młodych mężczyzn z plakietkami 78 Dywizjonu Rebelianckiego, człekojuagar się uśmiechnął. Gdyby ktoś lepiej mu się przyjrzał, zauważyłby refleks ognia na kłach w głębi kaptura. Aggro nie mógł lepiej trafić. Jako że nie miał możliwości ich zbadać, wykorzystując psychometrię, co wymagało dotyku i długiego skupienia, obserwował uzbrojonych w karafki i kufle pilotów. Rozmawiali wesoło, żartowali, tręcali się łokciami przy zabawniejszych epizodach polemiki, wybuchali gremialnym chichotem, ale nie byli pijani. Wydawali się sympatycznymi i tolerancyjnymi ludźmi, z którymi nawet Onkalot mógłby się dogadać. Młodzi rebelianci nie byli zwykle zindoktrynowani i nie mieli napchanych do głów głupot, że człekojuagarzy to zwierzęta nadające się tylko do wykonywania prostych prac na rzecz ludzi. Pociągnął spory łyk *palque*, postanowił zaryzykować i zagadać.

Już sposobił się do wstania, gdy do pomieszczenia wtargnęła hałasująca grupa naćpanych korsarzy, którzy jakoś obezszli zakaz wstępu osobom nietrzeźwym. Mieli fantazyjne fryzury w krzykliwych barwach. Na czołach sterczały gogle wielowizyjne. Zdezelowane ciuchy, głównie w odcieniach szarości i brązu, podzwaniały łańcuchami i bransoletami ślącymi refleksy po sali. Toporne, ciężkie buty wystukiwały na parkiecie nierówne rytmy. Idąc ku kontuarowi, korsarze stroili głupie miny do klientów, przedrzeźniali całujące się pary, czasem wykonywali gesty, jakby chcieli kogoś uderzyć i śmiali się z nagłych reakcji.

Na widok awanturycznej grupki łysy, leptosomiczny barman zrobił zakłopotaną minę, rozluźnił się jednak, gdy korsarze zajęli się zamówionymi trunkami, usiadłszy przy dwóch złączonych ławach. Wciąż hałasowali, epatując otoczenie obscenicznym zachowaniem, jednak to nie był jeszcze powód, by wypraszać ich z lokalu, który stał otworem dla wszystkich z pełnymi kieszeniami, nawet Kiritian. Oczywiście wszystkich tych, którzy potrafili się zachowywać.

Aggroteh chwilowo zrezygnował z rozmowy. Przesiedział kilka minut na swoim miejscu, by zjeść w spokoju rozmemłany posiłek i opróżnić kufel, dopiero wtedy wstał i ruszył w stronę rebeliantów, pewny, że pochłonięci swoimi sprawami i trunkami piraci stracili zainteresowanie otoczeniem.

Pomylił się.

– Ej, gościu, a ty kto? Mistrz Yoda? – Jeden z korsarzy wychylił się w krzesło i zamaszystym ruchem ręki zsunął przechodzącemu obok człeko jaguarowi kaptur z głowy razem z chustą. Wpatrując się z niedowierzaniem w to, co skrywał materiał, uderzał sztywną dłońią pogrążonych w dyskusji kolegów. – Te, kurde, ludzie, zobaczcie! Kotek!

– Gorzej ci, Margo? – burknął jeden z trąconych, z zielo-

nym irokezem. Następnie oniemiał, ujrawszy człekojuaguara w poncho i uniformie oblatywacza.

Coraz więcej klientów zaczęło spoglądać na stojącego pośrodku przedstawiciela gatunku, którego praktycznie już nie widywało. Żadna z osób goszczących w „Stanisławie Skalskim” nie słyszała o Aggrotehu z H14, przyjacielu poczciwego Johna Schindlera. Ci mniej wszechświatowi myśleli, że człekojuagarzy figurują pośród mitów i legend.

Niektórzy wstrzymali oddechy. Zaległa cisza, jakby wyłączono osłony stacji i ogarnęła ją próżnia. Gdzieś zbił się upuszczony kieliszek. Ktoś przeklął siarczyście.

Korsarz z zielonym irokezem poderwał się gwałtownie, przewracając krzesło. Wskazał Aggroteha.

– Onkalot! – ryknął, kładąc kres neurotycznej atmosferze.

Barman, wzdychając głęboko i potrząsając głową, dotknął płytkę alarmową pod blatem. Doskonale znał tę anarchistyczną bandę, której średnio co czwarta wizyta w „Stanisławie Skalskim” kończyła się ostrą burdą. Gdyby nie fakt, że kosmiczni piraci przynosili spory dochód lokalowi – nawet jeśli brudnych uinali – zamawiając droższe trunki, biorąc pokoje czasem na kilka wieczorów i najlepsze prostytutki, już dawno otrzymaliby zakaz wstępu. Zysk więc przeważał nad stratami. Dzisiejsza wizyta nie mieściła się jednak w statystycznej normie, bo banda rasistów, którą wywaliły na pysk androidy przy jej poprzedniej wizycie za wszczenie zamieszek, właśnie rzuciła się na Onkalota.

Zwinny Aggroteh uchylił się błyskawicznie przed szarżującym zbirem, który chciał mu przyłożyć obciążoną pierścieniami pięścią. Cisnął weń ściągnięte z siebie poncho. Uwolnił też ogon, by lepiej utrzymywać równowagę.

Klienci pozrywali się z krzeseł i przemieścili pod ściany, robiąc miejsce walczącym na środku pomieszczenia. Rebelian-

ci, z którymi Aggroteh wcześniej zamierzał porozmawiać, siedzieli zdumieni i gapili się na preludium przedstawienia.

Margo cisnął krzesłem w człeko jaguara. Ten zrobił rączy unik, a pocisk zmiotł zawartość stołu za nim. Rozzłoszczony mężczyzna, krzycząc, ruszył bykiem na Aggroteha. Zielony Irokez szarżował z drugiej strony.

Człeko jaguar odskoczył, chwycił ich za ubrania i pociągnął, wykorzystując impet mężczyzn, następnie posłał obu zde-rzonych ze sobą głowami na ziemię. Nie wykonał pełnego od-dechu, a już leciał na niego trzeci bandzior z jakąś wielofunk-cyjną bronią, którą udało mu się przemycić przez bramkę.

Aggro zrobił zirytowaną minę, jego uszy przyległy do czaszki. Wykorzystując szybkość i zręczność, jakich nabył jeszcze w Chiq'aq, będąc kapłanem-wojownikiem, wykonał salto w tył, pozwalając, by mężczyzna przebiegł niegroźnie obok, po czym kopnął go w tyłek. Korsarz, straciwszy równo-wagę, uderzył twarzą o krawędź stołu, następnie runął ciężko na ziemię, pojękując i trzymając się za krwawiący nos.

Zielony Irokez zaatakował jako kolejny, wyrwawszy nogę z uszkodzonego krzesła, którą zaczął wymachiwać. Onkalot sprawnie unikał wszystkich ciosów, wymierzanych na różnych wysokościach, pod różnym kątem, a kiedy mężczyzna natarł bardziej zapalczywie, zaczął uciekać, skacząc po stołach na czterech kończynach lub spychając tamtemu pod nogi naczynia i przedmioty. W końcu wyrwał człowiekowi drewnianą pałkę i zaczęli się bić na pięści.

Aggroteh dostał w nos, aż odskoczyła mu głowa. W odwe-cie, rzuciwszy swoje rękawice na najbliższy stół, zostawił na twarzy adwersarza pięć krwawiących ran po pazurach.

– Zabijcie tego jebanego kota! – zraniony wrzasnął do kompanów.

Mężczyzna z rozbitym nosem, klnąc siarczyście, zaczął

podnosić się z podłogi. Kopnął brutalnie i bezmyślnie jakiegoś człowieka przechodzącego obok i rzucił przekleństwo pod jego adresem. Osoba, która zarobiła w rzepkę, okazała się wielkim prawie jak Forkis, łysym, napakowanym sterydami, ubranym w czarne, skórzane ciuchy neoskinheadem. Warknęła i przeniosła na korsarza pełne nienawiści spojrzenie.

Barman trzymał dłonie na blacie kontuaru, gotowy w każdej chwili kucnąć i się zasłonić. Wykarbował sobie w pamięci, że jeśli tego wieczoru jego lokal nie pójdzie w drzazgi, oleje poprawność polityczną i zmieni jakoś regulamin, by członkowie zwaśnionych grup społecznych nie przebywały razem o tej samej porze.

Ranny w nos pirat kosmiczny pokonał lotem kilka metrów, upadł na drewniany stół, roztrzaskując go na dwie części. Kompani poszkodowanego, jeszcze obficie krwawiącego z nosa i teraz z rozcięcia na czole, przenieśli całą złość z Onkalota na neoskinheada – który nie przyszedł tu sam.

Wisząca w powietrzu bijatyka wybuchła równie szybko, jak objęła całą salę. Obecność Onkalota stanowiła ledwie iskrę zapalną dla wstawionych przedstawicieli różnych subkultur. Dzisiejszy wieczór w „Stanisławie Skalskim” można było zaliczyć do wyjątkowych, rzadko zdarzało się bowiem, by członkowie kilku odmiennych kulturowo, moralnie i behawioralnie grup zbierali się razem w jednym miejscu i czasie. Osoby chcące zachować pełne uzębienie wyszły na zewnątrz. Ci, którzy próbowali uspokoić pijane lub trzeźwe, ale wściekłe towarzystwo, same prosiły się o to, by stać się żywymi pociskami albo ruchomymi tarczami dla latających przedmiotów.

– Chodźcie, pomóżmy mu. – Tom Lewandowski, który poczuł sympatię do nieźle walczącego i rzucającego ciętymi dopicem człekojuagura, zachęcił swoich kompanów gestem ręki. Ci pokiwali głowami, wzruszyli ramionami i ruszyli na dwóch

korsarzy, chcących zaatakować rozbitymi butelkami broniącego się kamiennym nożem Aggroteha.

Rebelianci chwycili od tyłu niewidzących ich piratów za fraki, wykopali im butelki i pchnęli ku i tak już potrzaskanym stołom.

– Dzięki za pomoc, ale teraz i wam się oberwie – zwrócił się Q'ualel do Toma, który stanął za jego plecami i tak jak antropomorf czekał na przyjęcie kolejnych ciosów. – Chciałbym z wami porozmawiać.

– Nie ma sprawy. Teraz chcesz gadać? – odparł rebeliant luzackim tonem.

Q'ualel chwycił w objęcia jakiegoś atakującego go korsarza. Ujrawszy znaczącą minę Toma, obrócił go w jego stronę, by ten mógł walnąć pięścią w wytatuowaną twarz. Natręt osunął się na podłogę.

– Wolałbym przy jakimś drinku – Aggroteh uśmiechnął się – ale sam widzisz, że okoliczności nie sprzyjają.

– Świetnie walczysz.

– Dzięki.

– Jak się nazywasz?

– Mów mi Aggro.

– Jestem Tom.

Obaj padli na płask, gdy leciała w ich stronę ława.

– Ja pierdzielę, ale zadyma. Nigdy tu takiej nie widziałem – rzekł Tom, gdy posuwali się na czworakach w stronę kominika, a nad nimi fruwały przedmioty.

Aggro ryknął jak jaguar, gdy ktoś brutalnie pociągnął go za ogon, przez co stracił równowagę. Przesunięto go kawałek, nim wysunął pazury i zaczepił je o styk płytek drewnianego parkietu. Mamroczący groźby zbior podniósł go za uniform, po czym przygwoździł grzbietem do ławy. W jego ręce błysnęło ostrze noża z zastawy. Q'ualel błyskawicznie ugryzł wystawio-

ną rękę, przesunawszy głowę na bok, nim nóż dotarł do jego gardła. Przeciwnik krzyknął z bólu, chwycił się za dłoń, upuściwszy narzędzie. Człekojaguar uderzył mężczyznę czołem, rzucił się na niego i obaj polecili na przeciwległy stół. Aggro stanął tylną łapą na piersi tamtego i, powarkując, przysunął mu do serca obsydianowe ostrze.

– Futrzaków się zachciało na starość, co? – burknął. – Miałeś betonowego misia w dzieciństwie?

Szybko musiał odskoczyć, bo z lewej strony szarżował na niego podpity, że aż czerwony na twarzy opryszek, krzycząc. Aggro westchnął nerwowo, chwycił go za ubranie. Człowiek zatoczył się i omal nie upadł.

– Dobry pomysł. Proponuje wziąć jeszcze większy rozbieg, a ściana na sto procent się znajdzie – powiedziałwszy to, posłał pchnięciem i kopniakiem w pośladki pijacznę przed siebie. Zanim jednak ten przywalił z impetem o ścianę, został ogłuszony lecącą butelką i legł nieprzytomny na ławie. Odłamki szkła trafiły również Aggroteha, ale nie zrobiły szkody przez uniform i futro.

Do pomieszczenia wpadła grupa wyczekiwanych przez coraz bardziej zirytowanego barmana androidów. Im także się dostało, nim zdołały uporać się z towarzystwem i wyrzucić wszystkich uczestników burdy przed lokal.

Tom i Q'ualel nie stawiali oporu, gdy bardziej wynosił ich, niż wyprowadzał z pomieszczenia byczy android, a następnie z łatwością cisnął nimi przez drzwi wejściowe.

– Czas przewietrzyć egzoszkieleł, panowie – rzekł beznamiętnie i zawrócił po kolejną partię awanturników.

Człekojaguar i człowiek popatrzyli po sobie, na swoje skaleczenia i zadrapania, gdy leżeli na birklonowym podjeździe – zbudowanym z przyjaznych organizmom, syntetycznych tworzyw sztucznych, pomijając domieszkę gliny. Roześmiali się,

lecz zaraz spowaźnieli.

– Ponoć masz do mnie sprawę – rzekł Tom. – Czego Onkalot mógłby chcieć od człowieka?

– Szukam kogoś. – Aggroteh zerknął na wejście do lokalu, z którego wylatywali kolejni rozbisurmanieni goście. – Kogoś, kto brał udział w waszej ostatniej bitwie z Kiritianami.

Zaskoczony rebeliant baczniej popatrzył na niego.

– Kogo konkretnie?

– Wybacz, lecz nie mogę ci powiedzieć. Chcę tylko, abys mi podał dokładne namiary miejsca, gdzie stoczyła się bitwa. Mógłbyś choć tyle dla mnie zrobić?

– Tyle mogę. To i tak żadna tajemnica. Jesteś tu z kimś?

– Nie, mam własny statek.

– Wyślę ci zatem namiary.

Pół godziny później, przeanalizowawszy dane otrzymane od Toma, Q'ualel przyglądał się sporządzonej przez ludzi holograficznej mapie sektora kosmosu, gdzie odbyła się potyczka pod Eos Endymion. Porównał ją z mapą Starożytnych Onkalotów, pozbierał też do kupy wszystkie informacje, jakie zdobył na temat zaginionego – być może zabitego, jak wielu uważało – Forkisa od chwili opuszczenia rodziny Schindlerów. Dokonał błyskawicznej analizy faktów. Zmarszczył brwi, spoglądając na konkretną planetę na mapie.

– Zatem Aj – wymruczał. Znał dowódcę Nieśmiertelnych zbyt dobrze, więc nie mógł się pomylić w tej kwestii.

SZCZUR

Forkis otworzył oczy, które w ciemności momentalnie nabrały czerwonego poblasku infrawizji. Tę pozostałość po jego dziedzictwie zarówno wrogowie, jak i achij, brali najzwyczajniej za bioniczną modyfikację gałek ocznych. I dobrze. Kiritianna zadowolalo, że wszyscy tak właśnie myślą. Ujrzał placki mchu porastające sufit, emanujące własnym światłem. Uniósłszy obolałą głowę, lekko zdziwiony dostrzegł brązowego szczura karłowatego, który stał na jego piersi i najwyraźniej zastanawiał się, czy brodawka tej ogromnej istoty nadaje się do jedzenia. Forkis uśmiechnął się samymi kącikami ust. Szczur, który myślał, że znalazł trupa, znieruchomiał. Napiął malutkie mięśnie i bacznie obserwował twarz człowieka czarnymi ślepiami, czasem poruszał wąsami.

– Ożeż... No ładnie, wpakowałaś mnie do grobu. – Mężczyzna rozpoznał ograniczające go cztery kamienne ściany. Wiedział, gdzie się znajduje. Podczas transportu dwa razy odzyskał świadomość: na pustkowiu, gdzie dostrzegł plecy ciągnącego go pilota wrogów, oraz przy wejściu do Ch'amiya b'aq, pradawnej świątyni zwanej Kościane Berło, której frontową elewację widział dawno temu, przy wcześniejszej wizycie na planecie. Dlatego nie był zaskoczony, gdy zamiast posępnego nieba ujrzał kamienny strop. Ale co to za pomysł, by ładować go do grobowca? Mało było lepszych miejsc w świątyni, nadających się na przechowanie rannego? Uśmiechnął się szelmowsko. Zamysł rebeliantki w istocie był zabawny. – Czyli je-

steśmy na planecie Aj.

Z łatwością pozbył się nadtopionego wybuchem kabla pętającego mu ręce. Wystarczyło tylko parę razy mocniej szarpnąć nadgarstkami, by poluzować pętlę i uwolnić zdrętwiałe dłonie.

Tymczasem głupi szczur, zamiast jak najszybciej zmyć się z pola widzenia Kiritianina, dalej stał na jego piersi i gapił się, jak olbrzym dochodzi do siebie.

Było już za późno, gdy zdecydował się na ucieczkę. Forkis pochwycił go błyskawicznym ruchem ramienia. Ścisnął w garści tak, że sterczał z niej tylko ogon i łeppek.

– Ależ zgłodniałem – rzekł do zwierzęcia miłym tembrem głosu. Usiadł, stękając i krzywiąc się z bólu. Zignorował go i wyprężył się, wyciągając wolną rękę, by wyprostować kości.

Porządnie już zaniepokojony szczur coraz bardziej zaczynał się szarpać i popiskiwać. Serduszko stukowało intensywnie w drobnej piersi jak miernik promieniowania w miejscu wybuchu. Uzurpator mógłby przysiąc, że czuł drgania przez biome-tal rękawicy.

– No i czego się boisz, mały? – zapytał spokojnym, hipnotyzującym głosem, owijając ogon gryzonia wokół palca drugiej ręki. Oblizując się długo i wpatrując się w stworzenie głodnym wzrokiem, gładził je tkliwie po grzbiecie. Pociągnął językiem po jego łebku, zostawiając na sierści gęstą ślinę. – Spójrz na to inaczej. Gdyby nie ja, zdechłbyś pod jakimś kamieniem, pożarty przez bakterie i robaki, a tak staniesz się częścią najpotężniejszego człowieka we wszechświecie.

Kiritianin uśmiechnął się nieporadnie na dźwięk tych słów. Najpotężniejszy człowiek we wszechświecie tkwił oto w podziemiach zapomnianej świątyni, strącony z orbity przez anonimową rebeliancką gówniarę. Westchnął, rozbawiony. Cóż, zawsze jakaś odmiana. A z dziewczyną, o ile wciąż żyje, rozpra-

wi się potem.

– Ciii, spokojnie. – Dmuchnął szczurowi w pyszczek, po czym zwrócił się do niego poważnie: – Potrwa to niedługo. Będzie bolało, przynajmniej za kilka minut. Ale początek powinien ci się podobać.

Wsunął jego łapkę sobie do ust i smakował ją delikatnie przez chwilę językiem. Mruknął z zadowoleniem.

Gryzoń zwariował, zaczął miotać się i piszczeć jak szalony, w pełni świadomy tego, co się zaraz stanie.

Był jednak bez szans.

– Przyjemnej podróży, maleńki.

Forkis włożył go sobie do szeroko otwartej buzi. Bawił się nim przez chwilę, przesuwając go językiem i mięśniami ust, by zwilżyć jak najmocniej. Rozsuwał raz po raz zęby, tworząc złudny prześwit, a gdy zwierzę próbowało się wydostać, zatrząskiwiał je i zgarniał znów językiem w stronę przełyku. Głód głodem, ale trzeba się też trochę zabawić. Zwłaszcza w takich okolicznościach. Zdezorientowany gryzoń nawet nie pomyślał, że mógłby chociaż osiągnąć tyle i pokaleczyć jamę ustną nastpnika.

W końcu Forkis odchylił nieco głowę i głośno przełknął gryzoncia żywcem. Przesuwał palcem po wybrzuszeniu na gardle, gdy zawartość wędrowała w dół. Czuł, jak przerażone stworzenie ledwo drga, ściśnięte mięśniami przełyku. Moment perystaltyki żywych istot sprawiał mu największą przyjemność. Przez jakiś czas odczuwał ruchy, gdy szczur znajdował się już w żołądku, słabsze z każdym kolejnym długim oddechem Kiritianina. Ale i tak trwało to dość długo, bo wiele minut. Poklepał się po brzuchu. Kochał to uczucie, nie miało prawa nigdy się znudzić. Uczucie nieposkromionej dominacji, gdy odbierał życie małym istotom w iście barbarzyński sposób. W końcu był zabójcą mającym do wszystkiego prawo, więc dla-

czego miałyby nie korzystać z uważanych nawet za najbardziej makabryczne przyjemności? Dlaczego miałyby nie korzystać z życia na swoje ulubione sposoby? Nikt nie mógł mu się przeciwstawić, bogowie nie mogli go pokarać, bo nie istnieli. Wierzył w nich dawno temu, ale wszystko się zmieniło. Nie ma nieba ani piekła, kary za grzechy ani sądu ostatecznego. Jest tylko odpowiedzialność za własne czyny. Chwała dla drani i pogarda dla uczciwych.

Beknął. Przesunął językiem po wargach. Wydłubał z między zębów kawałek futra. Słyszał i czuł, jak mocniej zabulgotało mu w żołądku.

Jako że wciąż czuł się osłabiony, położył się ponownie na kamiennej płycie. Zaczął okręcać palcami metalową kapsułę – zawieszony na łańcuchu talizman. Sprawdził, czy ma przy sobie jakiś sprzęt. Tak jak się spodziewał, kalety przy pasie zostały opróżnione, jednak oba schowki w nadbiodrku pancerza mógł otworzyć tylko on (chyba że zmieniłyby ustawienia). X17A4 – pistolet na samoodnawialną amunicję świetlną, który był podstawowym wyposażeniem każdego Kiritianina – nadal więc tkwił na swoim miejscu, a drugim schowku Forkis znalazł pojemnik z ampulką i dołączoną do zestawu mikrostrzykawkę. Uniwersalny medykament był skarbem w warunkach polowych, bo mógł zarówno hiperstymulować układ odpornościowy w razie infekcji, ograniczać krwawienie przy dużych zranieniach niebędących uszkodzeniami tętnic, jak i neutralizować w ciele wszystkie znane medycynie Nieśmiertelnych trucizny.

Forkis wyszedł z sarkofagu niczym przebudzony wampir parę terreńskich kwadransów później, gdy poczuł, że wracają mu siły. Spojrzał na zdziczałe pieczarki, które pięknie rozrosły się po podziemiach, niegdyś hodowane tu przez akolitów świątynnych. Wiedział, że energia pozyskana z lichego szczura nie starczy mu na długo. A jedyną pigułkę energetyczną, jaką miał

przy sobie, ukradła rebeliancka gnida. Nie przejął się tym zbytnio, drwiący uśmiech wykrzywił jego blade oblicze. Następny posiłek urządzi sobie z delikatnego ludzkiego mięsa.